

# Dorabianie gęby Kościołowi

Tomasz P. Terlikowski 06-12-2011



## **Bez odważnych decyzji i szybkich działań katolicy są skazani na marginalizację. A przyczyną nie będzie Palikot, ale ich własne zaniedbania – ostrzega publicysta**

Kościół w Polsce wchodzi w okres kryzysu. A powodem wcale nie jest Janusz Palikot czy wyraźny skręt w lewo partii rządzącej i całego parlamentu, ale fakt, że po wielu latach wyczerpała się zdolność kształtowania własnego wizerunku przez Kościół. W efekcie ów wizerunek, tematy, styl komunikacji, a nawet nauczanie próbują narzucać Kościołowi ludzie zwyczajnie z nim niezwiązani lub go nierozumiejący. To zaś może okazać się dla tej wspólnoty o wiele bardziej niebezpieczne niż otwarci wrogowie z Ruchu Poparcia Palikota.

### Zwycięza kłamstwo

Przykłady można mnożyć. Opus Dei, czyli promująca ascezę i solidną formację organizacja katolicka, przedstawiana jest przez tygodnik "Newsweek" jako główne zagrożenie dla suwerenności Polski. Piotr Śmiłowicz i Andrzej Stankiewicz otwarcie uznają, że obecność członków czy sympatyków tej organizacji w rządzie to "poważny problem". Oczywiście dziennikarze "Newsweeka" nie odwołują się wprost do strachów Dana Browna i nie próbują przekonywać, że ludzie Dzieła chodzą z nożami za cholewką, by odpowiednio szybko zabijać swoich przeciwników. Aż tak źle nie jest. Zamiast tego jednak oznajmniają, że "istotni politycy w tak ważnych dla państwa resortach zobowiązani byłiby kierować się wyłącznie katolickimi dogmatami. Bez żadnych wyjątków – bo tak nakazuje doktryna organizacji".

Opinia ta – choć absurdalna, bowiem każdy prawdziwy katolik ma obowiązek w kluczowych sprawach określonych przez Magisterium głosować tak, jak nakazuje doktryna – jest próbą dorobienia Kościołowi gęby przeciwnika wolności wyboru i słowa. Histeria rozpetana wokół ks. Adama Bonieckiego przez mainstreamowe media ma podobny cel. Chodzi o to, by stworzyć wrażenie, że Kościół "knebluje", "odbiera prawo do wolności wypowiedzi", a nawet – do takich sugestii posunął się niezawodny w takich sytuacjach redaktor naczelny "Newsweeka" Wojciech Maziarski – "łamię polską konstytucję", wymagając od zakonnika posłuszeństwa ślubom, które sam złożył. I nie ma się co pocieszać, że opinie te są tak absurdalne, że nikt przy zdrowych zmysłach w nie nie uwierzy. Odpowiednio długa propaganda, powtarzanie kłamstw, organizowanie debat i wypowiedzi autorytetów przyniosą efekty, a zastarzały polski antyklerykalizm i niechęć do dogmatyzmu sprawią, że nie ma takiej bzdury, w którą Polacy nie byłiby w stanie uwierzyć, jeśli tylko dotyczy ona Kościoła.

Niestety, nie widać sensownej odpowiedzi na tę długoterminową strategię wykluczania katolików i przedstawiania ich jako wrogów demokracji, a nawet narodowej suwerenności. Prawda, przynajmniej w wymiarze doczesnym, nie zwycięża mocą samej prawdy i musi być broniona. Jeśli się tego nie robi, to zwycięża kłamstwo. Tak jak zwyciężyło ono w Hiszpanii, w której dorobiono Kościołowi gębę obrońcy okrutnego reżimu frankistowskiego (co samo w sobie jest kłamstwem), a całkowicie pominięto fakt, że kapłani i zakonnice byli masowo i w okrutny sposób mordowani przez obóz republikański. Efekt jest taki, że beatyfikacje męczenników lewackiego terroru w Hiszpanii nieodmiennie budzą sprzeciw i niezrozumienie,

także wśród ludzi wierzących, a benedyktyni, którzy zobowiązali się wiecznie modlić za spokój duszy obrońcy Kościoła, jakim był generał Franko, wycofali się z tej obietnicy.

Pazerność zamiast pedofilii

Dorabianie gęby wroga demokracji czy "wielkiego cenzora" może być tym skuteczniejsze, że modernizatorzy od lat głoszą ściśle powiązanie nowoczesności z laicyzacją i wieszczą wyludnienie kościołów, wreszcie znaleźli metodę, by swoje marzenie zrealizować. Inaczej niż w Irlandii, nie są to jednak skandale seksualne, które – jak pokazał skandal z arcybiskupem Juliuszem Paetzem w roli głównej – w Polsce nie przyspieszają procesów laicyzacyjnych. Zamiast nich głównym narzędziem walki z Kościołem stanie się kasa. Już teraz media nieustannie zajmują się stanem posiadania ludzi Kościoła, a zwrot ukradzionego majątku (tak przez Komisję Majątkową, jak i Fundusz Kościelny, który składa się ze środków, które komuniści ukradli katolikom) stał się najwygodniejszą bronią w walce z religią. Kolejne skandale (niektóre z nich, jak ten z Markiem P., całkiem realne) utwierdzają wiernych w przekonaniu o gigantycznych bogactwach Kościoła i o pazerności kleru.

Ten zarzut, szczególnie gdy jego potwierdzeniem staje się życie własnego proboszcza, jest najmocniejszą bronią w walce z Kościołem. Już ks. Józef Tischner głosił, że ludzie są w stanie wybaczyć proboszczowi kobietę (a teraz można by dodać: także mężczyznę), ale nie pazerność. I przeciwnicy Kościoła zrozumieli to. Dlatego zamiast atakować życie moralne kleru, zajęli się jego dochodami, wiedząc, że polski antyklerykalizm ma często podłoże ekonomiczne. Warto przypomnieć, że podobne podłoże miał także niemiecki i austriacki (a zachowując proporcje, także polski) antysemityzm. On także oskarżał Żydów, jak teraz oskarża się "czarnych", o pazerność i grabienie należących się społeczeństwu pieniędzy.

Tak twardo wobec duchowieństwa sprawę stawiają obecnie tylko ludzie Palikota. Myślenie takie jest jednak nieobce także części Platformy Obywatelskiej i samemu premierowi. Donald Tusk w swoim exposé stwierdził wszak, że odebranie duchownym nielicznych przywilejów ubezpieczeniowych – związanych, o czym nieczęsto się pamięta, z grabieżą na wielką skalę (jak dotąd zwrócono mniej więcej dziesięć procent tego, co zabrano) majątku Kościoła, której dokonali komuniści – ma rozwiązać część problemów finansowych państwa. Wcześniej, posługując się tym samym argumentem, rozwiązał Komisję Majątkową, posługując się nieprawdziwymi argumentami dotyczącymi skali nieprawidłowości. Obie te decyzje, choć łamiące podstawową zasadę sprawiedliwości, zostały przez społeczeństwo zaakceptowane.

Koniec status quo

Atak na Kościół i umacnianie antykatolickich resentymentów związane jest, co oczywiste, z faktem, że wspólnota ta reprezentuje wartości skrajnie obce nowoczesnemu myśleniu: wyznaje istnienie jednego Boga, a co za tym idzie, jednej i obowiązującej wszystkich prawdy, którą rozum ludzki, niekiedy oświecony wiarą, jest w stanie poznać i według której człowiek musi żyć. Jej hierarchia przypomina, że nie wszystko, czego chce człowiek, jest dobre, i że obowiązkiem sumienia nie jest podporządkowanie się ludzkim, lecz bożym prawom. W przestrzeni publicznej oznacza to zaś sprzeciw wobec aborcji, eutanazji, rozwodów, przywilejów małżeńskich dla par jedнопłciowych, a także przypomnienie, że wierność ma znaczenie, a odpowiedzialność jest ważniejsza niż samorealizacja.

Myślenie takie jeszcze kilkanaście lat temu było oczywistością. Politycy lewicy, także ci opowiadający się za aborcją, zawsze podkreślali, że obiektywnie jest ona złem, ale złem mniejszym niż jakieś domniemane dobro. Teraz nikt już nie odwołuje się do takich kategorii i otwarcie głosi się, że aborcja jest prawem i jako takie jest dobre. Jej zwolennicy zaś otwarcie przyznają, jak Wanda Nowicka, że w ogóle nie obchodzi ich, czy zabijana istota jest czy nie

jest człowiekiem, dla nich liczy się osobisty interes, który jest istotniejszy od prawdy czy dobra.

I właśnie ta zmiana jest najważniejszym dowodem na koniec – tak wychwalanego – moralnego status quo. Porozumienie prawne dotyczące aborcji, nieakceptowalne moralnie, ale jednak przyjmowane politycznie, było możliwe tylko dlatego, że większość ówczesnych polityków akceptowała (przynajmniej werbalnie) klasyczną koncepcję prawdy i dobra, uznawała, że prawda jest w jakimś stopniu poznawalna, a prawo ma w jakimś stopniu być jej odbiciem. Tak już jednak nie jest. Koncepcja prawdy uznawana jest już za zagrożenie dla demokracji, a zwolennik prawa naturalnego nieuchronnie uchodzi za katolika. Język i argumentacja Kościoła, które – co nieuchronne, opierają się właśnie na koncepcji możliwej do poznania prawdy – przestały być zrozumiałe i stały się tylko kolejnym dowodem jego zacofania czy niezrozumienia współczesności.

### Roz(g)rywanie Kościoła

Autorytetowi Kościoła nie sprzyja także ostry konflikt, który dzieli scenę polityczną i przekłada się na życie Kościoła. Już teraz coraz częściej autorytet biskupów jest podważany dlatego, że są pisowscy albo platformerscy. Politycy i dziennikarze zaś sprawnie podziałami grają, i to nawet w sytuacjach, gdy różnice są minimalne albo wręcz wymyślone. Tak było w sprawie in vitro, w której – według polityków PO – miała istnieć jakaś opcja w episkopacie, która zapłodnienie pozaustrojowe popierała. Tak jest też w sprawie kary śmierci, gdy Ryszard Czarnecki zapewnia, że PiS zgadza się z arcybiskupem Józefem Michalikiem, a nie z Benedyktem XVI (inna sprawa, że gdyby rzeczywiście zapoznał się z opinią metropolity przemyskiego, to wiedziałby, że i on zgadza się z papieżem). W efekcie rodzi się nieprawdziwy obraz wspólnoty głęboko podzielonej, niezdolnej do ustalenia własnej doktryny i rozgrywanej przez polityków oraz media. I właśnie owo rozgrywanie jest najbardziej niebezpieczne dla Kościoła.

Odpowiedzią na nie musi być ściśle odseparowanie się od partyjnie pojmowanej polityki. Głos Kościoła musi brzmieć niezwykle donośnie, ale wyłącznie w kwestiach moralnych. Jak ognia trzeba też unikać choćby podejrzania o partyjną stronniczość.

Jeśli krytykujemy Bronisława Komorowskiego za jego podejście do zapłodnienia in vitro czy kompromisu aborcyjnego, to uczciwie trzeba przyznać, że za podobne rzeczy należało krytykować także Lecha Kaczyńskiego (którego poglądy w kluczowych sprawach moralnych były równie odległe od stanowiska Kościoła jak opinie obecnego prezydenta). Jeśli ostro upominamy polityków PO za stosunek do nauczania papieskiego w sprawie antykoncepcji, to trzeba także upomnieć (przy zachowaniu świadomości zniuansowania stanowiska Kościoła w tej sprawie) Jarosława Kaczyńskiego czy Zbigniewa Ziobrę za popieranie kary śmierci. A żeby było to możliwe, to Kościół musi zacząć mówić w sprawach kluczowych jednym głosem, na co nadzieję daje nakaz milczenia nałożony na ks. Adama Bonieckiego.

### Marketing i autoprezentacja

I wreszcie sprawa ostatnia. Jeśli Kościół ma skutecznie działać w przestrzeni publicznej, to musi się stać dysponentem własnego wizerunku. Wymaga to wytrwałej pracy, wyszkolenia nie tylko duchownych, ale i świeckich pracowników, którzy za pośrednictwem sprawdzonych w firmach procedur marketingowych doprowadzą do sytuacji, w której zmianie ulegnie język mówienia o Kościele, i w której to autentycznie wierzący katolicy zaczną proponować agendę tematyczną, a nie będzie ona w całości dyktowana z zewnątrz. Konieczna jest także wytrwała autoprezentacja hierarchów, którzy muszą uciekać przed swoimi medialnymi maskami i prezentować się takimi, jacy są naprawdę.

Zadania te nie są proste i trzeba uczciwie przyznać, że nigdzie nie udało się ich zrealizować w pełni. Przykład brytyjskiej grupy Catholic Voices, która wprowadziła do debaty publicznej kilkadziesiąt nowych osób kierujących się w swoich działaniach zasadą "więcej światła, mniej ciepła" (czyli ograniczania polemiki na rzecz prostego wykładu wiary) pokazuje jednak, że nie jest to niemożliwe. A do tego jest to jedyna szansa na zachowanie wpływu Kościoła na polską współczesność. Bez odważnych decyzji i szybkich działań skazemy się na marginalizację. A przyczyną nie będzie Palikot, ale nasze własne zaniedbania.

*Autor jest redaktorem naczelnym portalu Fronda.pl, adiunktem na Wydziale Nauk Społecznych Wyższej Szkoły Informatyki, Zarządzania i Administracji w Warszawie. Ostatnio wydał "Robienie dzieci. Terlikowski śmiało o in vitro", "Benedykt XVI. Walka o duszę świata", a także wraz z Grzegorzem Górnym wywiad rzekę z arcybiskupem Józefem Michalikiem "Raport o stanie wiary w Polsce"*

Rzeczpospolita